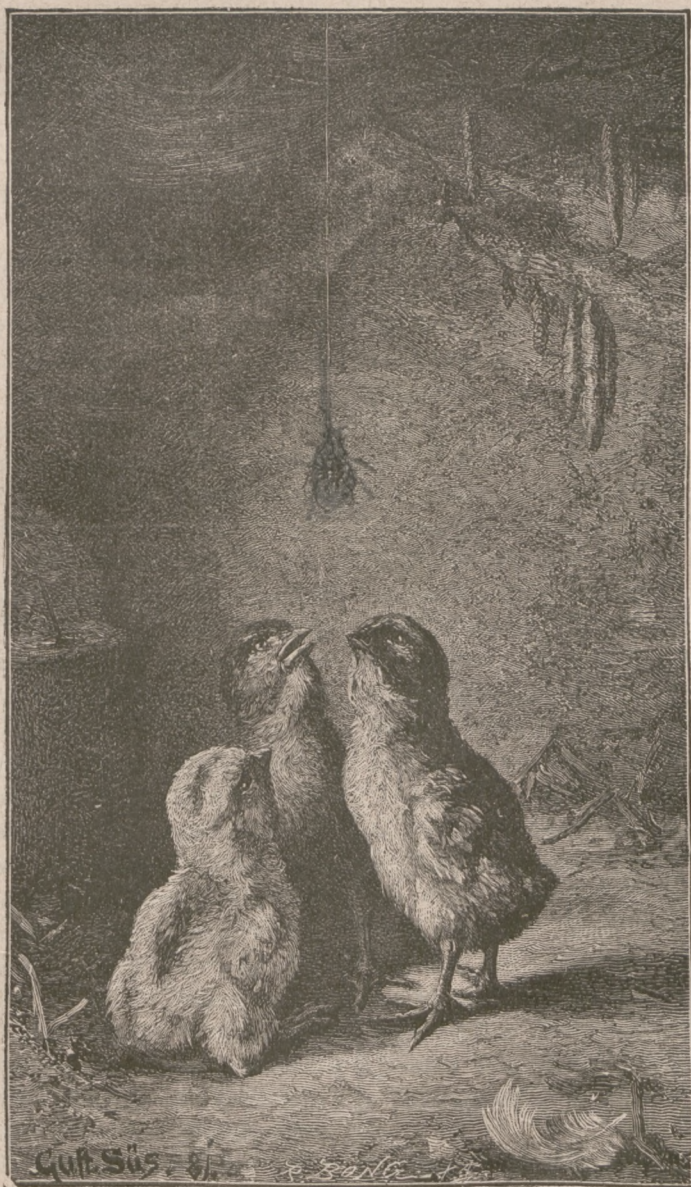


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



ZASADZKA.

Raz pajęczek młody, mały,
Spuścił się ku ziemi,
A kurczątko trzy czyhały,
Gdy drżał ponad niemi...

A wtém Lucio szedł w tę stronę,
Zobaczył pajęczka,
Odwiódł kurki przyczajone
Tam, gdzie kwitła łączka:

— Macie ziarnka, wy kurczęta,
Nie dziobcie pająka,
Niechaj kwitnie zgoda święta
Szeroko, jak łąka.

Azet.

PAMIĘTNE CHWILE.

Dnia 10 Listopada r. 1444. Pod miastem Warką bieleją polskie i węgierskie namioty, a między niemi krzątają się ludzie, pasie się bydło i konie rżą wesoło; zdala na niebiosach jasnych, czystych, czernieją wieże i baszty warneńskiego zamku, błyszczą limany i błota nadmorskie, ciągną się sine pasma gór, na szczytach ich drugi obóz widać, złote półksiężyce, świecące na tych namiotach, wysokie wielbłądy, przechadzające się między niemi, świadczą, że ci, co tam na górach się rozłożyli, z Azyi przybyć musieli. Jeszcze rok nie upłynął, jak wojska polskie i węgierskie, pod wodzą dzielnego króla Władysława Jagiellończyka, stoczyły bój zwycięzki z Turkami, jak papież w nagrodę za pokonanie wrogów chrześcijaństwa przysłał królowi polskiemu miecz poświęcony i hełm złocisty, a dziś znowuż z Turkami bój się ma toczyć... Odniosłszy ostatnie zwycięstwo nad sułtanem, Władysław zawarł z nim pokój na lat 10, lecz namówili go inni i złamał przysięgę. Młodemu nudziło się siedzieć spokojnie w domu, chciało mu się wrzawy bitew, pochwał, sławy, i polecał na bój. Starsi w narodzie odradzali tę wyprawę, lecz Władysław wolał tych słuchać, co mu szeptali, że przysięga uczyniona niewiernym znaczenia nie ma, uzbroił szyki, granice Turcyi przekroczył i pod miastem Warną obóz rozłożył...

Lecz czemuż siedzi teraz chmurny, czemuż troska osiadła na jego czole, a w oczach smutek? Wszakże do boju niedaleko, wroga ma tuż przed sobą. Czyżby w chwili ostatniej opuściła go odwaga, czyżby lękał się nieprzyjaciela, który tam na górze rozłożył się w liczbie nieprzeliczonej? O nie!

Władysław to dzielny rycerz, boju się nie lęka, liczba wroga go nie przeraża, ale teraz w jego duszy powstał jakiś niepokój, jakieś wątpliwości się zbudziły. Słyszy wyraźnie, że coś mu tam w sercu szepce: „Przysięgi nie godzi się łamać”. Niema dziś zgody w jego duszy, dwa głosy w niej się kłócą: jeden woła „Dotrzymaj przyrzeczenia” drugi „Walcz z poganinem”. Więc król siedzi chmurny, zadumany; od innych namiotów dolatują śmiechy; rozmowy, on uciekł od nich, jemu dziś wszędzie źle, nigdzie spokoju znaleźć nie może. W gwarze, co go dochodzi, zdaje mu się chwilami, że słyszy jakieś jęki, skargi, wołania ratunku, więc szepce czasami „Panie wspieraj nas, w Twój mocy wszystko!”

Wtém w powietrzu rozległ się tętent koni, a z nim jednocześnie wołanie w obozie polskim: „Turcy jadą!” Porwał się Władysław, wybiegł z namiotu.

— Na koń! — krzyknął!

— Na koń! — powtórzył Huniad, stary wódz węgierski.

I wnet całe rycerstwo stanęło gotowe do boju, wszyscy przywdziali zbroje, dosiedli rumaków i na spotkanie wroga pośpieszyli. Pędzą, lecą co sił koniom starczy, a przodem młody królewicz. Wiatr rozwiewa kruczy jego włos, szeleszcze suknia jedwabna, na piersiach błyszczy żelazna tarcza, ozdobiona drogiemi kamieniami, a rumak jego rży głośno i łbem strojnym w pióra potrząsa. Tuż za królem dąży hufiec młodych rycerzy, chce się z nim zrównać, bo lęka się o pana. Pędzą, biegną naprzeciw wroga, wreszcie się z nim spotkali i bój krwawy się rozpoczął: lecą świecące hełmy i pstre turbany, lecą z nimi czasem i głowy rycerzy; łamią się kopie, pękają szable w powietrzu, świszczą strzały, jedni i drudzy dzielnie walczą.

Lecz cóż to? hufiec rycerzy, co biegł tuż za królem, nagle stanął w miejscu, a potem się cofnął. Niestety! Turcy przecięli mu drogę, Władysław ujrzał się naraz sam jeden wśród wrogów. Podniósł szablę, rzuca nią na prawo, na lewo, chce odeprzeć napastników, lecz trudno podołać tyłu... setki rąk zwróciły się ku niemu jednemu, rozsiekali go mściwi Turcy. Tak zginął dzielny król, pełen nadziei młodzieniec, przerażone śmiercią wodza wojska chrześcijańskie poszły w rozsypkę i cały swój obóz Turkom zostawiły.

Smutnej pamięci tę bitwę stoczono 10 Listopada r. 1444. Tego to dnia Władysławowi Jagiellończykowi nadano przydomek Warneńczyka.

Teresa Jadwiga.

BAJKI ARABSKIE.

Wiadomo, że dzisiejsi Arabowie nie odznaczają się wcale bujną wyobraźnią, ale nie zawsze tak było. W czasach największego rozwoju arabskiej potęgi, niegdyś, kwitła literatura arabska zarówno, jak i niektóre sztuki piękne, te, na których rozwój i byt pozwala religia mahometańska. Bo np. nie pozwala ona na wykonywanie postaci ludzkich, tak pędzlem, czy ołówkiem, jak dłutem, a to przez ostrożność, aby lud mniej oświecony nie popadł w bałwochwalstwo. I w istocie, odróżnianie symbolu od istoty rzeczy nie dla wszystkich jest zarówno łatwem. A właśnie z pomieszania tych dwóch pojęć wynika bałwochwalstwo. Ale architekturę doprowadzili Arabowie do niezmiernie wysokiego stopnia doskonałości i piękności; szczególnie w bogactwie ozdób nikt im nie dorównał. Podobnie było i z literaturą. Arabowie odznaczyli się niezrównanie pięknymi utworami poetycznymi, a głównym przymiotem ich było między innymi niezmiernie bogactwo fantazyi. Jednym z licznych takich dzieł fantazyi arabskiej były Bajki. Jest ich dużo. Nie trzeba jednakże sądzić, aby to były bajki dziecinne. Owszem, pod osłoną kwiecistej alegoryi bywały tam ukryte prawdy tak głębokie, że ludzie nie bardzo myślący, nie mogąc dobrać się do nich rozumem, czasem wcale ich nie pojmowali, zachwycali się więc i bawili tylko alegoryą. Tak to właśnie częstokroć młody kotek bezmyślny bawi się orzechem, używając go jako piłeczki, ani domyślając się, że wewnątrz téj twardej zabawki tkwi smaczny orzeszek, ziarneczko. Tacy to ludzie przywykli lekko traktować ten rodzaj literatury, uważając go za błahą fantastyczną zabawkę. Ztąd też powstało wyrażenie: „Arabskie bajki” jukiem weszło w zwyczaj z czasem nazywać wszystkie nieprawdopodobne, dziwaczne, lecz barwne opowiadania. Nazwa ta pozostanie podobno na zawsze.

I u nas w „Dziadusiowym dworze” nazywano „bajkami arabskimi” opowiadania starego wachmistrza. Dziadusiowy dwór dla tego się tak nazywał, że należał do dziadusia. A więc i babcia nazywała się u nas „dziadusiowa panna” dla tego, że dziadus na babcie zawsze wołał: „Moja panno”, obyczajem dawniejszych starych ludzi. Dużo czasu upłynęło, nim nareszcie najstarszy z nas Julek zdołał wytłómaczyć nam za sprawą matki, że babcia nie nazywa się panną, tylko babcią, ponieważ ma wnuki. Ale tak, czy inaczej zwana, była ona zawsze nam zarówno drogą, jak drogiem było wszystko, co dziadusiowe.

I wachmistrz był też nam drogim dla swój do-

broci i dla swych bajek. Obcy ludzie dziwili się, że wolno nam było ich słuchać, ale rodzice i dziadziowie pozwalali na to. Dla nas małych, latem jak latem, największa rozkosz była w polu, w lesie i w sadzie, ale zimą była tylko jedna, jedyna: bajki wachmistrza przy kominkowym szerokim ogniu. Wachmistrz był to stary żołnierz z ogromnymi białymi wąsami, który podobno nawet wachmistrzem nigdy nie był, tylko dzielnym szeregowcem, ale tak go tytułowano przez uszanowanie dla wieku. Przywykł on do dziadzi, swojego zwierzchnika tak bardzo, że już żyć nie mógł bez niego i dla tego jedynie we dworze dziadusiowym pozostawał. Takie wielkie przywiązania napotykają się czasem u wojskowych, którzy wspólnie ze sobą dużo przecierpieli biedy. Dziadzio też kochał go bardzo.

Czy ten wachmistrz był uczonym człowiekiem, czy prostaczkiem, tego doprawdy do dzisiaj nie wiem. Ale w miarę, jak przychodziłam do rozumu, przekonywałam się, że bajki jego miały w sobie zawsze jakiś ukryty sens moralny, albo jakąś nawet nitkę dziejową tajemną, której nie spostrzegałam dawniej, słuchając barwniej alegoryi. I dla tego to myślę niektóre z jego bajek powtórzyć dla użytku i zabawy czytelników „Wieczorów” na tę pamiątkę, że i ja miałam kiedyś rozkoszne moje wieczory. Może stary wachmistrz był po prostu, nie uczonym, lecz rozsądnym i bystrym człowiekiem doskonałej pamięci, który umiał zużytkować to, co słyszał w odległych swych podróżach wojennych po Egipcie, Niemczech, Hiszpanii i Francji mianowicie. Z gawędą swoją nie narzucał on się nigdy nikomu, ale proszony przez nas dzieci o bajkę, zimowym wieczorem, mówił chętnie przy kominkowym ogniu, a nieraz i rodzice lub dziadziowie słuchali także. Ja kochałam go prócz bajek szczególnie dla tego, że okazywał mi zawsze wielkie uszanowanie i takiego wymagał dla mnie od braci moich. Nazywał też i mnie i wszystkie panienki, choćby najmniejsze, *damami*, zapewne na skutek długiego pobytu we Francji i przyzwyczajenia do francuzkich wyrażeń. Nigdy nie zapomnę, jak raz pokładaliśmy się na trawniku, śmiejąc się do łez, gdy przyszedł do altany poważnie meldując matce, że „najmłodsza dama okrutnie krzyczy, przeto trzeba jej dać trochę ślazu, gdyż musiała wczoraj nałykać się wiatru, gdy wyniesiono ją w poduszce do ogrodu”. Miał taką zabawną minę przy tém meldowaniu, gdy ruszał wielkimi siwymi wąsami, że nietylko my, ale wszyscy obecni śmieli się serdecznie.

Tego to wachmistrza opowiadania spróbuję tu przytoczyć pod nazwą bajek arabskich, nie dla tego, aby to miały być jakieś prawdziwe ułamki arabskiej literatury, lecz że je tak żartem nazywa-

no, ponieważ posiadały one iście arabską fantastyczność. A zapomniałam dodać, że i sam wachmistrz nazywał je arabskimi, utrzymując zawsze, że słyszał je kiedyś przy biwakowym ogniu u stóp piramid egipskich. Opisywał nawet nieraz opowiadacza, czyli poetę, wędrownego Araba, jakich mnóstwo jest w owych stronach; a którzy zjawiają się nieledwie przy każdym rozpalonym w pustyni ognisku, na którym gotuje się pachnąca mięsiwem wieczerza. Taki poeta improwizator, w białe odziany burnusy i zasłony, zbliżywszy się do ogniska, bywa zawsze witany jak gość najmiłszy, siada w kucki, jak wszyscy i na ogólne prośby rozpoczyna improwizowaną bajkę. Wachmistrz utrzymywał, że takie to w pustyni egipskiej zasłyszane bajki nam powtarza, chociaż my czasem dopatrywaliśmy w tych bajkach różne wprost do nas zwrócone intencje. A czasem bywały tam tylko jakieś historyczne wzmianki, jak to już powiedziano.

Jedna z tych bajek miała tytuł:

Sy g n e t.

Przy stworzeniu świata i przeróżnych duchów, Allah stworzył także jednego ducha nazwiskiem Sygnet, który zaledwie zjawiwszy się, zwrócił na siebie wszystkie oczy:

— Sygnecie! co tobie jest? dla czego tak dziwnie patrzysz, jakbyś sam w siebie spoglądał? — pytały inne duchy, patrząc zdziwione na nieruchomą, smutną postać nowego towarzysza.

— Niestety, ja jestem duchem wieczności... — odpowiedział — muszę tak zawsze zagłębiać się we własnym sercu bezdennym, zawsze, wiecznie... niezmiennie!

Duch powiedział te wyrazy tak smutno, że wszyscy posmutnieli od jego smutku. Allah, ujrawszy to, rzekł:

— Duchu wieczności, na smutek niema miejsca w niebie, idź z nim na ziemię, gdzie niema znów miejsca na wieczność i niezmiennosc: gdy zatęsknisz za tém, z czego niezadowolony jesteś, i odpokutujesz lekkomyślność, wtedy powrócisz...

Zaledwo Allah wyrzekł te słowa, już duch, który ośmielił się być niezadowolonym z woli Najwyższego, spadł z niebios, jak kamień, na świat nasz. Ze zaś na świecie naszym woda zajmuje daleko więcej miejsca niż ziemia, przeto duch wpadł w głębię morską, trafiwszy w nią przypadkiem. Przerażony gniewem Allaha i nagłą zmianą, jeszcze nie zrozumiał, co się z nim stało, gdy nastąpiła nowa zmiana: ogromna ryba połknęła „ducha wieczności“. Aby zrozumieć jakim sposobem marna ryba, choćby największa, mogła tego dokazać, trzeba wiedzieć, że duch bezcielesny, spadając na świat nasz, musi przecież przyjąć jakąś-

kolwiek postać dotykalmą, bo na tym świecie nie mogą istnieć duchy bezcielesne. Takie jest prawo przedwieczne.

Otóż i „duch wieczności“, spadając na ziemię, musiał z koniecznego prawa przybrać postać małego złotego kółka... A to dla tego, że kółko jest najdoskonalszym obrazem i symbolem wieczności*), ponieważ jak wieczność nie ma ani początku ani końca. Było zaś to kółko szczerozłote dla tego, że złoto jest najszlachetniejszym z metali czyli pierwiastków ziemskich, a więc najwłaściwiej mogło szlachetność duchową przedstawiać.

W chwilę później rybak pochwyił rybę wspańiałą, którą następnie podano na stół na królewskiej uczcie, a gdy król wziął część najbliższą głowy rybięj i kładł ją przed sobą, złote kółko wypadło z niej i potoczyło się na królewski talerz. Wszyscy obecni zdziwili się tak nadzwyczajnym wypadkiem i natychmiast zażądano od mędrców wróżbitów, aby wytłómaczyli to zdarzenie. Taki był zwyczaj u starożytnych ludów. Mędrzec wróżbita, siwobrody starzec stuletni, przystąpił przed monarchę na jego wezwanie i rzekł, jako mędrzec zgadując na wpół prawdę:

— Włóż ten krążek na palec twój lewej ręki, o królu! i niech on będzie odtąd znakiem królewskiej władzy, gdyż ja widzę w nim symbol potęgi najwyższej, wieczystej! dla tego imię tego krążka jest: *Sygnet* **).

Król uczynił wedle rady mędrca. Kazał on także dodać do sygnetu mały okrągły drogi kamień, oprawny w złoto, a na kamieniu tym wryć kazał godło swoje królewskie. Odtąd sygnet był znakiem władzy, i król wyciskał nim godło swe na pieczęciach rozkazów swoich. Gdy więc król udzielić chciał komu chwilowo władzy swojej, to mu oddawał na pewien czas swój sygnet. Takim sposobem duch, niezadowolony z niezmiennosci w niebie, ciężko jęj pożałował teraz, gdy w nieustannym musiał istnieć niepokoju. Bo pamiętać trzeba, że dla ducha wieczności czas inne ma niż dla ludzi rozmiary: wieki mogą być dlań chwilami, a chwile wiekami.

To też ciężkie chwile przyszły na Sygnet na ziemi. Raz jakiś potężny władca indyjski pieczętował nim straszne swoje rozkazy, to znów Faraon egipski w obec mędrców swoich i dworzan oddawał go uroczyście młodemu żydowi Józefowi, a Józef nadaną mu przez to potęgą chronił kraj od głodu. Pyszny król Asverus podał go chytremu Amanowi, aby żydzi wytępieni zostali, a natychmiast prawie Mardocheusz mocą Sygnetu wydawał

*) Starożytni uważali *kolo*, za symbol wieczności.

***) *Signum, Signe*, znak.

rozkazy potępienia samegoż Amana. Na skinienie ręki uzbrojonej w Sygnet, godło władzy potężnej, padały miasta, ginęli ludzie, wznosiły się grody, floty wypływały z portów, lub zagłębiały się w toniach.

— O Allahu! — zawołał duch wieczności znękany — dla czegoż tylko władcy mają mię posiadać i dręczyć, posługując się najczęściej na złe moją potęgą? Uczyni mię mniej potężnym, a może będę szczęśliwszym.

Zaledwo to wyrzekł, gdy ze złotego, poważnego sygnetu, stał się barwnymi osypany szmaragdami, rubinami, chryzolitami, potem stał się srebrnym, to znowu żelaznym, i ujrzał się na palcach mnóstwa ludzi. Żydzi, Egipcyanie, Grecy, Rzymianie, wszyscy nosili sygnety. Posłowie państw z razu, potem senatorowie, potem wszyscy obywatele mieli prawo nosić złote sygnety. Za czasów Solona każdy Grek wolny nosił sygnet złoty, srebrny, lub brązowy. Kobiety nosiły sygnety ze słońcowej kości i bursztynu. Demostenes przepadał za tą ozdobą. Spartanie nosili sygnety żelazne. Rzymianie w żałobie wkładali sygnety żelazne zamiast złotych, a po śmierci Rzymianina te ozdoby jego płonęły wraz ze zwłokami na stosie. Posągom wkładano nawet sygnety i zmieniano je często, przystrajając bóstwa wedle uroczystości. Doża wenecki zaślubiał morze, wrzucając w nie złotą obrączkę. Królowa Kunegunda wrzuciła sygnet w kopalnię soli *). Kapłani wkładają obrączki na palce zaślubiających się małżonków. Biskupi otrzymują sygnety wraz z biskupią godnością. Kobiety czasami nosiły pierścienie nie tylko na palcach rąk, ale i nóg także. Używano też sygnetu jako czarodziejskiego talizmanu, wprawiano weń różne drogie kamienie, mające chronić od nieszczęść i chorób, nawet w sztucznej skrytce w sygnecie ukrywano zjadliwe trucizny. A duch, jako duch, istniał w każdym sygnecie i cierpiał:

— O Allahu! Allahu! — zajęczał duch wieczności, zaklęty w obrączkę — zlituj się, dla czegoż wszyscy mają mię posiadać i dręczyć! tego nawet duch znieść nie podola!

— Sygnecie! — odrzekł Allah — byłeś samym w sobie, i przykrzyła ci się wieczność, zstąpiłeś w doczesność i sprzykrzyło ci się u jej szczytów, zstąpiłeś do jej stóp i przykrzy ci się tam bardziej jeszcze. Czegoż żądasz?

— Spokoju! — jęknął biedny Sygnet nareszcie, upadając na twarz u stóp Allaha, przekonawszy się, że wola jego, jakakolwiek się zdaje, przecież zawsze jeszcze bardziej uszczęśliwić zdoła stworzenie, niżeli ono samo siebie.

— A więc tęsknisz za tém, z czego niezadowolony byłeś? — rzecze Allah — to dobrze; nie tak łatwo przecież dostać się do nieba, jak spaść zeń: idź i znieś jeszcze najspokojniejszą dolę, jaka istnieje dla ciebie na ziemi, zanim wrócisz na łono tego spokoju, jakim niebaczenie wzgardziłeś.

Jeszcze brzmiał ten wyrok Allaha, a już Sygnet uczuł najspokojniejszą dlań dolę na ziemi, stał się sygnetem papieżkim. Było to w XV wieku. Od téj chwili Sygnet, jako pieczęć papieżka, nie bywał, nigdy noszonym na palcu, i służył tylko jako pieczęć wyciskana na wyrokach (breve) papieżkich *).

— Sygnecie — rzecze raz jeszcze Allah — może teraz zostać zechcesz na ziemi?

— O Allahu! — jęknął Sygnet. — uważ co dzieje się ze mną w postaci rybackiego sygnetu papieżkiego i skróć męczarnie moje!

Allah spojrział i widział, jak przy śmierci każdego papieża bywał rozbijany złotym młotem jego sygnet rybacki, a dla nowego papieża nowy sygnet robiono. Dobry Allah uczuł litość dla biednego ducha, ale prawo konieczności musiało się spełnić. Duch niezadowolony z woli Allaha musi do dna czarę pokuty wychylić. Spełnia ją więc do dnia dzisiejszego. Obecny jako duch w każdym pierścionku od milionowej **) wartości, aż do ołowianego pierścionka za kilka groszy, biedny duch cierpi niewymownie. Trzeba zaś zważać, że boleje on nie tylko z powodu strasznego niepokoju, ale także i dla tego, że każdy czyn nieuczciwy lub niegodny, spełniany ręką noszącą Sygnet, sprawia szlachetnemu duchowi straszliwe cierpienie. Gdyby nie był duchem, nie wytrzymałby długo srogiego losu. Jedyną jego nadzieją jest, że pokuta skończy się kiedyś...

Takie są straszne następstwa dla istot, które ośmielają się szemrać na wolą Najwyższego!

* * *

Stary wachmistrz * przy ostatnich słowach wznosił w górę palec wskazujący, uroczyście, groźnie... i spuścił po chwili rękę i głowę, i zamilkł... Ja, siedząca tuż przy nim na dziecienném krzeselku, patrzyłam z przerażeniem na małeńki pierścioneczek, którego brylancik migotał dziwnie na moim palcu, zdawało mi się, że to jest oko ducha Sygneta:

— Babciu! ja nie chcę! ja się go boję! zdjęj go — krzyknęłam nareszcie z płaczem, wyciągając rękę do babci.

— A to dla czego? — spytała. Zastanowiłam się nad odpowiedzią, bo w istocie, dla czegoż mia-

*) Przed wiekiem XV pieczęć ta papieżka służyła do pieczętowania wszystkich korespondencji papieżkich.

**) Pierścień cesarzowej Faustyny miał kosztować około dwóch milionów złp. dzisiejszych.

*) Było to oznaką wzięcia w posiadanie.

łam się bać ducha Sygneta, kiedy on nigdy nikomu nic złego nie zrobił, tylko sam cierpiał. Więc odpowiedziałam po dziecinnemu:

— Dla tego, że mi go żal, bo on cierpi.

— A cóż to mu pomoże, gdy go zdejmiesz ty, kiedy on mimo to pozostanie we wszystkich innych pierścionkach?

Zdumiona, nie wiedziałam co odpowiedzieć, a wtém rzecze wachmistrz, ruszając wielkimi wąsami:

— To nic nie pomogłoby Sygnetowi; ale gdyby mała dama pilnie chciała zważać na to, co czyni ta rączka, która nosi Sygnet na palcu, gdyby ta rączka nie uczyniła nigdy nic złego, a mianowicie, gdyby nigdy nie popróżnowała, bo z próżnowania bywa najgorsza swawola i wszystko złe... wtedy toby może i pomogło Sygnetowi, bo miałyby choć trochę spokoju na paluszku małej damy...

Słuchałam uważnie, popatrzyłam w oczy wachmistrzowi, i wsunęłam pierścionek na palec jeszcze dalej, z mocném postanowieniem, aby biedny Sygnet znalazł trochę spokoju na moim palcu.

Tymczasem dziadzio i ojciec rozmawiali coś z sobą o tém, że stary wachmistrz pod alegoryą opowiedział w krótkości dzieje prawdziwe pierścienia. Moi bracia uważnie słuchali téj rozmowy, ale mnie ona nic nie obchodziła, bo myślałam tylko o nieszczęśliwym duchu Sygnecie.

M...a.

KRÓL BOHATER.

Opowiadanie historyczne.

przez starego nauczyciela.

(dalszy ciąg).

V.

Znowu tedy, po czteroletniém, nieszczęśliwém panowaniu króla Michała, nastąpiło bezkrólewie, burzliwe i niespokojne, jak to zwykle w Polsce bywało. Wojsko Sobieskiego, na wieść o śmierci króla i gotującej się elekcji, zaraz się rozpręgać zaczęło; hetman Pac za nic nie chciał iść dalej, jak radził Sobieski, aby znieść ostatecznie potęgę Turków, ale powrócił ze swemi chorągiewami do kraju. Za jego przykładem poszli inni dowódcy, nie mógł więc Sobieski z garstką wiernych sobie chorągwi puszczać się na nierówną walkę z armią turecką i także musiał się cofać powoli.

Zwłoki króla Michała przewieziono do Warszawy, gdzie wedle zwyczaju pozostać miały aż do obioru jego następcy. Królowa wdowa Eleonora już przy tych zwłokach niezastygłych rozpoczęła

intrzygi, chcąc osadzić na tronie polskim księcia, któryby i ją zarazem pojął za żonę. Szło jęj głównie o to, aby została przy koronie, sprzyjała też najwięcej księciu Lotaryńskiemu *); popierało ją liczne stronnictwo panów polskich, a przede wszystkim Pacowie, powodowani zawsze niechęcią dla Sobieskiego. Stańło także do współzawodnictwa kilku innych książąt cudzoziemskich, każdy występował z wielkimi obietnicami i starał się zjednać sobie stronnictwo.

Sobieski i teraz nie myślał wcale o koronie dla siebie, wierny swym dawniejszym przekonaniom, doradzał obrać królem księcia francuzkiego, zwrócił się do podeszłego w latach Kondeusza, owego wielkiego wojownika, z którym się zapoznał niegdyś w Paryżu. „Potrzeba nam pana doświadczonego w boju, mówił, a z elekcją śpieszyć należy, aby nowy król zaraz na wiosnę stanął gotowy do pola“. Wiedział bowiem aż nadto dobrze Sobieski, że Turcy nie długo pozwolą wypoczywać Polakom. Sam on nie przybył do Warszawy, nie mógł się odwalić z Żółkwi, gdyż żona jego, ukochana Marysieńka, złożona była ciężką niemocą.

Na sejmie konwokacyjnym, zbranym w Warszawie d. 15 Stycznia 1674 r. za sprawą Paców i całego stronnictwa przeciwnego Sobieskiemu, domagano się zawczasu, ażeby Piasta, to jest każdego Polaka, wyłączono od elekcji, a także, aby obrany król był koniecznie niezonatym i mógł poślubić wdowę Michała. Odrzucono jednak te wnioski, jako ubliżające narodowi i naznaczono tylko dzień 20 Kwietnia na sejm elekcyjny.

Tymczasem pretendenci do tronu używali najrozmaitszych sprężyn, aby sobie zjednać stronników; cesarz austriacki, popierając swoją siostrę, posunął nawet wojska ku granicom Polski, a ponieważ i sułtan turecki nie przestawał znów z drugiej strony zbierać swoich wojsk, więc kraj był zewsząd zagrożony. Sobieski nie intrygował, nie czynił żadnych starań, aby koronę dla siebie zapewnić, choć nikt nie był jęj godniejszym od niego, ale pamiętał jedynie o zabezpieczeniu kraju przed nieprzyjacielem. Jak tylko żona wyszła z niebezpieczeństwa, śpieszył do Lwowa, do Lublina, gdzie się zbierały komisye wojskowe, i obmy-

*) Książę Karol był synowcem i następcą panującego ks. Lotaryngii, wywłaszczonego ze swojego państwa przez Francuzą i szukać on musiał przytułku w Austrii, gdzie zajmował wysokie stanowisko wojskowe. Jeszcze po śmierci Jana Kazimierza ubiegał się o tron polski, a zarazem o rękę siostry cesarskiej, która jednak wyszła za Michała, aby zostać królową. Gdy i po śmierci pierwszego męża nie udało jęj się wynieść na tron księcia Karola, ani wydać się za innego króla, została jego żoną; z potomstwa księcia Karola Lotaryńskiego i Eleonory austriackiej wyszedł dom obecnie panujący w Austrii.

ślał środki obwarowania granic; nie zajrzał nawet do Warszawy, gdzie zjeżdżali się posłowie zagraniczni z wielką okazałością, gdzie zabiegi, knowania, nie ustawały na chwilę.

Po całym kraju tymczasem odbywały się sejmiki nadzwyczaj burzliwe; na Litwie Pacowie tyle dokazali wpływem swoim, że powszechnie prawie żądano warunku wyłączenia Piasta od elekcji. Za powód podawano przykład nieszczęśliwego panowania Michała Wiśniowieckiego, rzeczywistym jednak, jak łatwo odgadnąć, była obawa, aby nie obrano Sobieskiego. W Koronie panował zamęt prawdziwy, każde prawie województwo popierało innego pretendenta, ci królewicza duńskiego, ci księcia bawarskiego, to znów Rakoczego, Don Juana austriackiego, różnych książąt francuzkich, młodziutkiego księcia Neuburskiego, *) który miał dopiero lat czternaście. Nie było prawie książęcego domu w Europie, któryby nie wystąpił z pretendentem do korony polskiej. Najpoważniejsze jednak i najliczniejsze były dwa stronnictwa: księcia Lotaryńskiego i Kondeusza.

Nadszedł wreszcie dzień elekcji, tłumy szlachty zalewały Warszawę, tłoczyły się na trzy mile naokoło miasta. Na polach Woli ustawiono szopy dla prymasa i senatu, szeroko rozłożyły się wspaniałe namioty magnatów polskich, a ze wszystkich najokazaliej wyglądały te, na których błyszczał herb Sobieskiego, Janina. Były to bowiem owe namioty złociste, zdobyte pod Chocimem na tureckich paszach. Nie widziano w nich jednak wielkiego hetmana, przy rozpoczęciu elekcji zajmowali je tylko przyjaciele jego, którzy go uprzedzili, a pomiędzy nimi najdzielniejsze rycerstwo województwa ruskiego. Hetman Pac przyprowadził z sobą liczne wojsko, niby dla większego przepychu i obóz swój, na prawym brzegu Wisły rozłożony, urządził prawie na wojenny sposób, oprócz tego mnóstwo zbrojnego ludu rozsypał po Warszawie. Dowiedziawszy się o tém Sobieski, kazał i swoim wiernym chorągwiom trzymać się w pogotowiu. I tak osobista nieprzyjaźń dwóch hetmanów rozrywała naród na dwa obozy, wojna domowa groziła w chwili, gdy tyle spraw ważnych wymagało rozważy i zgody.

Dnia 20 Kwietnia solenne nabożeństwo odbyło się z rana w katedrze Ś-go Jana, potem senat i posłowie stanu rycerskiego, pod wodzą prymasa Czartoryskiego, (prymas Prażmowski już nie żył), udali się na pola wolskie, w towarzystwie kilkudziesięciu tysięcy zbrojnej szlachty. Sapieha, podskarbi wielki litewski, przyjaciel Sobieskiego,

obрани był marszałkiem sejmu. Przez dni kilka trwały różne przygotowania, spisywano punkta *pacta conventa*, wykonywano przysięgi, rozbierano obietnice pretendentów. Każdy przyrzekał wypłacić żołd wojsku, utrzymywać pewną ilość żołnierzy z własnej szkatuły, stawiać fortece, w chwili bowiem obecnej najgwałtowniejszą potrzebą kraju było odparcie nawały tureckiej.

W początkach wszystko zdawało się przechylać na stronę księcia Lotaryńskiego, Pacowie szli górą, nieroztropnie jednak postąpili sobie: chcąc skorzystać z nieobecności Sobieskiego, aby przypuszczalnej jego kandydaturze zadać cios stanowczy, uporczywie występowali z wnioskiem wyłączenia Piasta, a zawzięty hetman głośno wykrzyknął, iż *infamusem* będzie ten, kto równego sobie Polaka na tron wynosić zechce. Wywołało to oburzenie powszechne, a skutek był wręcz przeciwny temu, jakiego pragnął osobisty nieprzyjaciel Sobieskiego; teraz bowiem zaczęły się odzywać głosy, że raczej cudzoziemców usunąćby należało, a wybrać Piasta, któremu dobro kraju i narodu daleko bliżej na sercu leżeć powinno.

W czasie tych obrad burzliwych, dnia 3 Maja, zjawił się nareszcie na polach wolskich bohater z pod Chocima, dzielny pogromca muzułmanów, Jan Sobieski. Przyjęty był z wielkim zapalem, lud witał go okrzykami radości, wznoszono przed nim bramy tryumfalne, kapłani z ambon głosili sławę tego, który tyle dusz chrześcijańskich wyzwolił z jasyru pohańców, rycerstwo, senat, najwyżsi dostojnicy nie szczędzili mu oznak uszanowania; za wielkie były jego zasługi, aby zawiść jednostek mogła zagłuszyć głos sumienia całego narodu. Jan Sobieski miał w owym czasie lat 44, był w pełni życia, sił i zdrowia, oblicze niezwykle piękne, postawa wspaniała, bohaterski zapal, jaśniejący w oczach jego wyrazistych, znamię geniuszu, wryte na wyniosłem czole, wszystko musiało pociągnąć do niego, jednać mu uwielbienie i miłość.

Każdy z magnatów, dążąc na elekcją, wiódł za sobą dwór jak najliczniejszy, starał się gromadzić jak najokazalszy orszak. Sobieski przybywał z poczem niezbyt licznym, ale przynosił w dani nowemu panu, którego obrać miano, trofea bogate, jakimi nikt inny pochłubić się nie mógł: chorągwie nieprzyjacielskie, zdobyte w Chocimiu. W orszaku jego postępował hufiec janczarów tureckich, z jeńców na straż przyboczną bohatera zmienionych; dzikie, niezwykle dźwięki ich muzyki, poraz pierwszy wówczas słyszane były w Polsce. Gwiazda Paców musiała zagasnąć w obec tej chwały, jaka otaczała Sobieskiego. Pochód jego nie mógł być czem inném, tylko tryumfem.

*) Książęta Neubursey także z Bawaryi ród swój wiedli.

Sama obecność Sobieskiego wywarła wpływ potężny, stronnictwo Paców i księcia Lotaryńskiego zaczęło słabnąć, czekano, co powie bohater, którego głos nie mógł być lekceważony. Zajął on miejsce swoje, jako marszałek wielki koronny, potem głos zabrał i oświadczył się stanowczo za księciem Kondeuszem, wynosząc wielką sławę jego wojenną, która najlepszą stanowiła rękojmią, iż zostawszy królem, potrafi podołać swemu zadaniu i stanie się dzielnym obrońcą kraju.

Wymowa Sobieskiego pociągnęła tłumy i kandydatura księcia Kondeusza byłaby się pewnie utrzymała, gdyby Pacowie nie dołożyli wszelkich usiłowań, aby temu przeszkodzić. Szło im o pokrzyżowanie zamiarów przeciwnika, nie spodziewali się, że tym uporem jemu samemu torują drogę do tronu. Tak to często pycha zaślepia i gotuje upokorzenie tym, którzy się jęj unieść dali.

Nadszedł wreszcie dzień stanowczy, w którym zbierać miano głosy, złowroga cisza zaległa na polach Woli, cisza, jaka zwykle straszną burzę poprzedza. Wojska litewskie stanęły pod bronią, koronne uszykowały się także, jakby do boju, powtarzano sobie pó cichu, jak Michał Pac, wielki hetman litewski, udając się do koła głośno zaręczył królowej Eleonorze, iż księżę Lotaryński, a nie kto inny, będzie królem polskim; jak znów Jan Sobieski, wielki hetman i marszałek koronny, oświadczył równie stanowczo, że nie dopuści, aby stronnictwo austriackie wzięło górę. Już pośród tłumów ozwał się szmer i zgiełk głuchy, hufce wrywały się z szeregów, gotując się do bratobójczej walki, gdy nagle zabrzmiały pienia pobożne, biskupi usiłowali zażegnać burzę, rozpoczynając nabożeństwo przed głosowaniem.

I oto po ukończeniu modłów, gdy miano już przystąpić do zbierania głosów, wśród uroczystej ciszy, powstał Stanisław Jabłonowski, mąż poważny, znakomity rodem, zasługą, dostojnością, i wymownymi słowy przedstawił wielkie zasługi Sobieskiego, bohaterskie jego czyny. Nie trudno mu było dowieść, iż Polacy nie potrzebowali szukać wśród obcych książąt króla, gdyż nikt nie był godniejszym tronu od tego, który od lat najmłodszych cudów waleczności dokazywał i własną pierśią zasłaniał ojczyznę, własną krew za nią przelewał. „Jan Sobieski niech nam króluje!”—zawołało głosów tysiące, a województwo ruskie, któremu przewodniczył Jabłonowski, pierwsze ozwało się grzmiącym okrzykiem: „Niech żyje król Jan Sobieski!” Za tym przykładem poszły inne województwa koronne, Stefan Czarniecki, niegdyś marszałek niefortunnej konfederacji gołubskiej, dziś najgorliwszy stronnik bohatera, z którym walczył pod Chocimem, pociągnął za sobą Podla-

sie. Nawet pośród województw litewskich niektóre bez wahania przechyliły się na stronę Sobieskiego, Sapiehowie, Radziwiłłowie sprzyjali mu szczególnie i wpływu swego używali, aby przełamać opór Paców. Rycerstwo, które zwyciężało pod jego rozkazami, z najwyższym zapałem przyjęło ten wybór i gotowe było z szablą w rękę stanąć po jego stronie. Najzawziętsi przeciwnicy Sobieskiego, Pacowie, opuścili pole obrad, czując niemoc swoją w obec takiej większości. Zewsząd domagano się, aby głosowanie natychmiast było rozpoczęte i nowy król obwołany.

A wtém podniósł się głos Sobieskiego — nie chciał on przyjmując korony, póki wszyscy rodacy jednogodnie nie uznają go godnym tego zaszczytu; uważał za ujmę dla siebie korzystanie z tej pierwszej chwili zapału i uniesienia, a gdy nalegano na niego, stanowczo się oparł i żądał odłożenia głosowania na dzień następny. Wieczór zapadł tymczasem i żądaniu Sobieskiego stało się zadość. Nazajutrz była niedziela, stronnictwo Paców i królowej domagało się zwłoki z powodu dnia świątecznego, znowu przyszło do waśni, ale Sobieski po raz drugi oświadczył, iż nie chce pośpiechu i czekano do poniedziałku.

Taka szlachetność musiała w końcu pokonać nawet zawistnych. W poniedziałek, d. 21 Maja, jednogodnie okrzyknięto królem polskim Jana III-go Sobieskiego, Litwa przybyła na pola wolskie pod przewodem wielkiego kanclerza, Krzysztofa Paca; dla formy tylko zbierano głosy, gdyż nikt już nie stawiał oporu, chorągwie wojskowe uchyliły się przed tym, który je tylokrotnie wiódł do zwycięstwa, uderzono w dzwony kościołów, duchowieństwo zaintonowało hymn dziękczynny, a potem senat, posłowie, szlachta, wraz z nowo-obranym królem, udali się do kościoła Ś-go Jana, gdzie przybyła także uniesiona dumą Marya-Kazimiera, przyszła królowa, z synem swym Jakóblem.

Stronnicy Eleonory usiłowali skłonić Sobieskiego, aby się rozwiódł ze swoją ukochaną Marysieńką i pojął za żonę wdowę po królu Michale, ale on z pogardą odepchnął tę propozycję. Obiecał tylko wypłacić królowej wdowie znaczną sumę pieniężną, a Eleonora, nie mając już nic do czynienia w Warszawie, odjechała do Bielan, następnie do Częstochowy, a w końcu opuściła Polskę.

Wkrótce po ukończeniu elekcyi był dzień Bożego Ciała. Za procesyą postępował nowo-obrany król Jan III z małżonką swoją, oboje jaśnieli pieknością i szczęściem. Przodem niesiono 66 chorągwi zdobytych na Turkach. U wejścia świątyni usłano niemi drogę, którą kapłan z Przenaj-

świętym Sakramentem postępował. Nowy król wspaniale święcił tryumf Krzyża.

Tegoż samego dnia otrzymano wieści, że sułtan Mahomet IV zbiera znów wojska i razem z hanem tatarskim nowy najazd gotuje na Polskę. Król Jan III nie miał czasu wypoczywać na tronie.

(D. c. n.).

obowiązek sekretarki, przepisuje to wszystko, potem nawet się to litografuje. Co tydzień powstaje tym sposobem duży arkusz, mający u góry tytuł: „Gazeta Sobotnia” i dewizę z Ody do młodości Mickiewicza.

Mierz siły na zamiary
Nie zamiar podług sił.



Wzór do rysunku.

CZASOPISMO PENSYONARSKIE.

Na pensyi pani Niedziałkowskiej we Lwowie dorastające panienki obmyśliły sobie bardzo miłą i pożyteczną rozrywkę; w godzinach wolnych od nauk piszą dłuższe i krótsze wypracowania i artykułiki treści rozmaitej; jedna z nich, pełniąca

Mamy właśnie przed sobą parę arkusików tej pensyonarskiej gazety i sądzimy, że czytelniczki naszego Pisma z zajęciem odczytają te próby pióra młodych dziewczątek, podajemy więc niektóre udaniejsze ustępy.

To dopiero początek. Z chwilą opuszczenia pensyi kończy się dla większej części z nas okres

pobierania nauki systematycznie ujętej i podawanej nam przez nauczycieli w gotowej i przystępnej formie. Jestto niejako *koniec początku* naszego wykształcenia. Nauczyciele są jakby siewcy—nauka, którą oni nam udzielają, to ziarno — nasze głowy i serca, to rola, w którą to ziarno rzucono. Z pensji wynosimy tę rolę zasianą ziarnem zdrowiem, dzięki tej, która kierowała naszym wykształceniem i tym, którzy pod jej kierunkiem nad nami pracowali.

Ale aby to ziarno wydało plon na użytek nasz własny, naszych bliźnich i ojczyzny, potrzeba dalszej, własnej już pracy naszej, pracy nieustannej i wytrwałej. Dopiero ta samodzielna praca, własną naszą wolą kierowana, rozwinięta, utrwali i uczyni istotną naszą własnością ten zasiew, który wynosimy z pensji. Niech więc egzamin nie będzie zakończeniem pracy nad wykształceniem naszym, niech on tylko zamknie jeden okres, w którym występowałyśmy więcej biernie, a rozpocznie nowy, w którym samoistnie już myśleć o sobie i obowiązkach naszych będziemy, kierując się radami i przestrogią naszej drogiej Pani. One też przewodniczyć nam będą we wszystkich naszych czynnościach.

Pierwsze kroki będą trudne — praca bowiem nie jest zabawką, i wymaga koniecznie pewnego przewyciężenia się, pewnej walki z samym sobą, zaparcia się i odmówienia sobie niejednej cześć przyjemności. Ale już sama ta walka jest kształceniem się, gdyż wyrabia siłę charakteru i woli, które są podstawą szczęścia całego życia.

Nie zapominajmy też, że rozszerzenie zakresu wiedzy nie jest jeszcze wszystkiem. Mamy obowiązki względem rodziców, młodszego rodzeństwa, domowników i bliźnich w ogóle. O ile nauka kształci rozum, o tyle wypełnianie tych wszystkich obowiązków rodzinnych i społecznych kształci serce. Rozum bez serca jest martwy — w równej więc mierze nad kształceniem jednego i drugiego pracować należy i pracować będziemy. Opuśczone zakład, w którym kilka lat z taką korzyścią i przyjemnością pod opieką naszej dobrej Pani spędziłyśmy, z mocnym postanowieniem, aby dalej w wytkniętym nam kierunku postępować.

Bierzemy to sobie za zasadę, żeby żadnego dnia nie zmarnować na próżno i postępować ciągle wytrwale naprzód w pracy nad sobą, bo kto raz na jednym miejscu stanie, ten z czasem pocznie się cofać i tracić powoli i to, co sobie już zdobył. W miarę zdolności, możności i stosunków naszych, będziemy więc pracowały z zamiłowaniem i poczuciem potrzeby pracy, będziemy wypełniały chętnie nasze obowiązki, aby ten zakład, który nas do tej samoistnej pracy przygotował, mógł się kie-

dyś nami poszczycić, do czego niech nam Bóg dopomóż.

L. D.

Sprawy pensjonarskie. Ostatnią moją gawędę zakończyłam słowami „do widzenia” dziś przychodzi mi napisać „żegnajcie, drogie koleżanki”... Przed tygodniem, gdyby mi kto podsunął myśl, że nie dotrąm z wami do końca, wydałaby mi się niepodobieństwem, a jednak to prawda, i w tej chwili jestem już daleko...

Chcę jednak jak najdłużej być z wami, a usługa „Gazeta Sobotnia” mi to ułatwia. Wszak sprawy pensjonarskie pewnie jeszcze nie napisane, więc żwawo chwytam pióro, a jest co zanotować. Ostatnimi czasy dużo było różnorodności w naszym życiu. Nasza dobra, kochana Pani z każdej chwili korzysta, by z nami pomówić, bo chociaż nigdy nie szczędziła rad i wskazówek, to teraz radaby przelać w nas wszystkie swe piękne zasady, w imię których starała się trafiać do naszych serc i duszy, i dziwna rzecz, wszak dawniej postępowała zupełnie tak samo, jak teraz, a my dopiero teraz w zupełności ją rozumiemy. Lecz to konieczne następstwo jej kilkoletniej pracy nad nami.

Usiłowaniem naszej Pani było zawsze zaznajomienie nas ze wszystkiem, co pouczające i godne widzenia, to też z nastaniem pogody czasu nie tracimy: byliśmy w technice, w instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych. Te dwa zakłady wywarły na nas wielkie wrażenie; wracałyśmy ztamtąd przepelnione wdzięcznością i podziwieniem, do czego dojść można siłą woli, wytrwaniem, cierpliwością, a nadewszystko miłością. Trzeba bowiem ukochać te nieszczęśliwe, upośledzone istoty, by z takim zaparciem pracować nad nimi.

Przy pożegnaniu zwyczaj pozwala dawać sobie upominki; otóż ja umyśliłam obdarzyć was wszystkimi... zgadnijcie czem? Oto opisaniem soboty pensjonarskiej, wszak to nowość dla was, boście tylko ranki sobotnie z nami spędzały *), a trzeba wam wiedzieć, że popołudnie całkiem inaczej upływało, niż każdego innego dnia.

Zaraz po obiedzie pod przewodnictwem panny Liny zabieramy się żwawo do robienia porządków w szufladach z książkami, ustawiamy szeregiem kałamarze, piórniki, następnie każda staje przed swoją szafą, układa bieliznę i suknie, przegląda, czy nie trzeba czego naprawić, a wszystko odbywa się chętnie, wesoło, bo ani razu nie obeszło się, aby jedna drugiej nie splatała jakiego figła.

Nakoniec wszystko w porządku; każda śpieszy załatwić się z drugim obowiązkiem zajęciem

*) To zapewne stosuje się do uczennic przychodnich. (Przyp. Red.).

w sobotę, a mianowicie z pisaniem listów do rodziców, krewnych lub znajomych. Z początku przykrzyły się nam te listy, teraz jednak piszemy chętnie i z łatwością, a zawsze jest o czém donosić. Przechadzka wbrew zwyczajowi krótsza, o co się nie gniewamy, bo wieczór ma wszystko nagrodzić. Jakże niecierpliwie czekamy dzwonka, wzywającego na kolacyą, którą tego dnia wcześniej niż zwykle podają. Przy stole siedzimy niedługo, biegniemy prędko na górę, ostatecznie porządkujemy środkowy pokój, każda z robotą zasiada przy stole, Pani zaraz nadejdzie.

Listy leżą razem obok dużej czarnej książki z czerwonymi brzegami, na którą od czasu do czasu patrzymy z ukosa... oj, ta książka! to dzienniczek... od niego zależy, czy ten wieczór będzie bardzo miły, czy też dla niektórych osóbek smutny. Wchodzi Pani, w rękę parę książek, zasiada na swoim miejscu, przegląda listy, robi sweje uwagi, a następnie zwraca, abyśmy je dopiero nazajutrz, już zaadresowane i zapieczętowane oddały; dziennik odczytany, każdą się dostało wedle zasługi, nakoniec Pani zaczyna czytać lub sama opowiada.

W ten sposób poznałyśmy prześliczne, owiane jakąś dziwnie łagodną boleścią, poezye ks. Antoniewicza, zrozumiałe a tak serdeczne pieśni i gawędy Pola, Syrokomli, natchnione utwory Mickiewicza, Męczeństwo Zbawiciela Balińskiego, Ś-tą Felicytę Odyńca i wiele innych. Z powiastek najlepiej się nam podobały ustępy z Pierścionków Babuni, pamiętnik Józji, królowa Lilij, a czytanie dawało materiał do rozmowy swobodnej, w której wszystkie brałyśmy udział. Jakże smutno, gdy z uderzeniem 10-ój Pani składa książkę; takbyśmy rade zegar zatrzymać, ale z wieżą ratuszową niełatwa sprawa. Klękamy do pacierza... o! ten pacierz pensjonarski, jaki on śliczny, modlitwy takie piękne, umiem je na pamięć i zawsze odmawiać będę. Już i dobranoc powiedziane, całą gromadką świecimy Paniusi po schodach, zasypiamy, ale jakoś inaczej niż codzień...

Takimi bywały nasze soboty, nie wiem, czy i nadal w podobny sposób upływać będą, wiem tylko, żeśmy je bardzo lubiły i że niejedna piękna myśl, niejedno szlachetniejsze uczucie wtedy rozbudzone, przyświecać nam będzie na drodze życia wesółej czy smutnej, w czém zdajemy się na wolę Boga. Żegnajcie mi.

wasza Wiktusia.

Poznaj ojców twoich ziemię. Od dawien dawna istnieje u nas zwyczaj, rozumie się u ludzi zamożnych, na dokończenie edukacji wyprawiać młodzież zagranicę. Niejedna z nas może, pożegnawszy się z pensją i systematyczną nauką, usły-

szy z radością, że rodzice zamierzają wyjechać z nią w podróż do Wiednia, Drezna, Paryża lub Włoch. Bez wątpienia zabije jój serce radośnie, wyobraźnia zapali się obrazami czarownych widoków i wspaniałych stolic — i nie dziw, bo dla kogoż nie miałyby one uroku!

Zastanówmy się jednak, czy im należy się pierwszeństwo, czy nasza własna ziemia rodzinna nie otwiera przed młodym umysłem skarbów równie cennych, zdolnych równoważyć cuda obcych krajów? Czy nie jest obowiązkiem każdego złożyć najpierw hołd u ołtarza rodzinnych, narodowych pamiątek, nim cudzym bogom czołem uderzy? Pewna jestem, że każda z was znajdzie w swoim sercu potwierdzającą odpowiedź na to zapytanie, i gdy jój z dwójga wybierać przyjdzie, odda pierwszeństwo naszym Tatrom przed Alpami, Warszawie i Krakowowi przed Dreznem i Paryżem.

Gdy zaś już poznamy naszą własną ziemię, i owszem, podążmy wtedy zagranicę, poznajmy inne ziemie, innych ludzi, odmienny obyczaj. Ale nie przywóźmy z tej podróży jedynie zachwyty dla obczyzny, a może niesmaku i pogardy dla rzeczy swoich. Przeciwnie, obowiązkiem naszym będzie ukochać więcej jeszcze ten nasz kraj, choć może uboższy w złoto od innych, ale drogi naszym sercom. Starajmy się zastosować w nim to, co się nam u obcych dobrém wydało, pracujmy wytrwale, choć w cichości, a zasłużymy na miano dobrych Polek i zadamy kłam boiesnym, ale niestety często prawdziwym słowom poety:

Cudze chwalicie,
Swego nie znacie,
Sami nie wiecie,
Co posiadacie.

H. Mr.

Sprawy pensjonarskie. Powszechnie zarzucają nam, to jest VII klasie, że jesteśmy tylko nieczynnymi współpracowniczkami „Gazety Sobotniej”, że cała nasza działalność ogranicza się na przeczytaniu każdego numeru, a jak się wyraża czcigodna kronikarka: „swego rozumku nie utrudzamy, aby pisemko wzbogacić pożytecznym artykułem“.

Przyznajemy się do winy, słuszność po waszej stronie; to też chcemy pokazać szanownym koleżankom z VIII-ój klasy, że nie jesteśmy zapleśniałymi mumiami, że i u nas panuje ruch i życie, a każda sprawa, dotycząca naszej pensyi, na równi z wami nas obchodzi. Postanowiłyśmy dziś wyręczyć was w napisaniu „Spraw pensjonarskich“ tэмbardziej, że wam samym trudnoby to przyszło, gdyż musiałybyście pisać same o sobie, lepiej zatem będzie, jeśli my osądzimy wasze dzieło.

Przez kilka dni wszystkie byłyśmy zajęte przy-

gotowaniem do nabożeństwa majowego, lecz cały trud przybrania ołtarzyka VIII klasa wzięła na siebie i musimy przyznać, że znakomicie wywiązała się z dobrowolnie przyjętego zobowiązania, bośmy wszystkie, i duże i małe, najzupełniej zadowolone. Obraz Matki Boskiej ślicznie odbija od girlandy białych róż na tle bladoróżowych draperyj, a dużo świeżych, kwitnących kwiatów w doniczkach z kolorową lampką, zawieszoną przed obrazem, piękną tworzą całość.

Co rana przed 9-ą schodzimy się wszystkie razem i wraz z Panią przed obliczem Królowej Niebios odmawiamy wspólnie modlitwy. Piękny to i dawny zwyczaj oddawania takiej czci Tój, która tylekrotnie osłaniała nas od pocisków nieprzyjaciół i szczególniejszą opieką otaczała naród polski. Wdzięczne też jesteśmy naszój Pani, że nam daje sposobność zachowania tego zwyczaju, który, jak każda tradycja narodowa, drogą jest pamiątką. Ileż to postanowień każda z nas czyni, ażebyśmy się stały prawdziwymi chrześcijankami, godnymi matek naszych, które między wielu przymiotami, odznaczały się szczególniejszem nabożeństwem do Przenajświętszój Pani. To też każda z nas pragnie całym sercem stać się godną szczytnego imienia dziecka Maryi. Daj Boże, abyśmy w naszych dobrych postanowieniach wytrzymały.

Od VII-ój klasy J. M. Bil.

PAMIĘTNIK MŁODEJ DZIEWCZYNY,

z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Słyszając te słowa, doznałam takiego uczucia, jak gdyby mię kto zimną wodą oblał; nie dla tego, ażebym się obraziła, pocziwa Salomea powiedziała to tak dobrodusznie, że niepodobna było gniewać się na nią, ale zafrasowałam się mocno, widząc tak smutną przyszłość przed sobą. Musieliśmy więc poprzestać na najprostszych pokarmach, codzień prawie jednakowych i zrazu tylko głód dotkliwy mógł mnie skłonić do jedzenia obiadów, przyrządzanych przez Salomeę. Nie widziałam nigdy na stole nic innego, tylko to, czego mogło dostarczyć domowe gospodarstwo: szynka, lub świeża wieprzowina, pieczeń z barana, który dnia poprzedniego paśł się na łące przed oknami, pieczone z kur, chwytaných nielitościwie w oczach moich na podwórku, oto przysmaki, jakimi żywił się w domu wuja. Wszystko to wydawało mi się okropne.

Ale najcięższe były dla nas nudy, do tych nie mogliśmy przywyknąć. Dni wlokły się nieznośnie,

nie mieliśmy ani książek, ani zabawek. Wolno nam było chodzić po całym domu, Salomea bardzo uprzejmie traktowała dzieci „nieboszczki pani Emilii“ pozwalała nam przesiadywać w pokoiku jadalnym, największym i najparadniejszym z całego mieszkania. Nie było tam jednak nic takiego, coby nas zająć mogło, ani jednego obrazka na ścianach, żadnego wykwintniejszego sprzętu, tylko stary, wyszarzany dywan na podłodze, a na kominku dwie figurki porcelanowe, dwie pasterki, trzymające w rękach pęki piór pawich, a obok kilka kamyków; były to okazy marmurów tutejszych. Najwspanialszą ozdobę tego kominka stanowił kawałek marmuru ociosany w kształcie trumienki, pięknie wygładzony, z krzyżykiem czarnym i łacińskim napisem. Salomea powiedziała nam z miłą uroczystą, że to własnoręczna robota pana Eliasza.

W tój izdebce jadalnej, ponurój i pustój, spędziliśmy cały miesiąc Marzec, taki słotny i wietrzny, że Janek nie chciał ani razu wyjść z mieszkania. Wstawaliśmy zwykle dosyć późno, i zjadłszy śniadanie, siedzieliśmy przy kominku, aż póki wuj Ruben nie przyszedł na obiad. Zasiadaliśmy wówczas do stołu, spożywając w milczeniu skromne potrawy podane przez Salomeę; wuj uśmiechał się kiedyniekiedy do „biednych dzieci“, a po obiedzie odchodził znowu do swojej roboty, to jest do pilnowania robotników w kamieniołomach, które trzymał w dzierzawie. My wówczas siadaliśmy znowu przy kominku, rozmawialiśmy po troszę, patrzaliśmy przez okna w podwórko, gdzie chodziły świnki i kury, albo urządzaliśmy jakąś grę, w chowanego lub wojnę, najczęściej jednak Janek znudzony zaczynał się mazać i w końcu usypiał. Gdy się ściemniło, wuj przychodził na wieczerzę, na którą niezmiennie podawano mleko, potem szliśmy wszyscy spać.

Dla mnie te długie nocy były najstraszniejsze, bo nie mogłam zasnąć prędko, po dniu spędzonym beczynnje. O jakże żałowałam teraz szkolnych czasów, tych lekcyj, na które dawniej narzekałam! Najnudniejsza nauka, trudne egzamina, nawet nieawistne godziny gry na fortepianie, wydawały mi się rozkoszą w porównaniu z życiem obecnem.

Rano przebudzał mnie głos Salomei, zwołującej drób, lub wydającój rozkazy dziewczynie, która jój pomagała w gospodarstwie; czasem przyłączał się do tego przeraźliwy wrzask kury zarzynanej, lub potraconego prosięcia. Gdy chciałam się przejść przed domem, znowu te nieznośne prosięta snuły mi się ciągle pod nogami, a całe to otoczenie tak było dla mnie wstrętne, że nieraz do prawdziwój rozpaczycy dochodziłam. Od dzieciństwa wychowywana byłam na panią, trudno mi było

oswoić się z tak odmiennym dzisiejszym położeniem. Jadąc z wujem, marzyłam o miłej swobodzie wiejskiej, o przechadzkach po lasach i kwiecistych łąkach, rozczarowanie było straszne. Na szczęście, żyjąc ciągle wśród obcych, nauczyłam się wcześniej ukrywać uczucia i wrażenia w głębi duszy, to też nie okazywałam nigdy mojego smutku i nie spędzałam na nikim złego humoru.

Pewnego dnia wydobyłam książki szkolne, i zaczęłam je czytać i odczytywać, później w przystępie rozpacz poprosiłam Salomei o igły i nici, i zabrałam się do cerowania pończoszek Janka. Nie miałam najmniejszej ochoty puścić się na jakąś dalszą wycieczkę, z okien naszego mieszkania nie widać było nic takiego, coby mię znęcić mogło, nigdzie drzewka, ani ziółka, tylko nagie głązy i błotniste ścieżki.

Ze wstydem wyznać muszę, że pod wpływem tego smutnego usposobienia zaniedbywałam bardzo biednego mego braciszka. On był jeszcze zanadto dziecinny, aby mógł tak dotkliwie cierpieć nad zmianą naszego położenia, jak ja, przytęm nawykł do życia siedzącego w Indyach, gdzie z powodu upałów trudno mieć wiele ruchu i spędza się zwykle dni całe w mieszkaniach. Ta jednostajność, ta samotność, nie była dla niego tak uciążliwą, jak dla mnie. Często godzinami całemi siedział cichuteńko przy oknie, wpatrując się, to w niebo pochmurne, to w małe kałuże na podwórku. Deszcze padały coraz częściej, i coraz cieplej było na dworze, zbliżała się wiosna, ale my nie czuliśmy wcale jej ożywczego tchnienia, siedzieliśmy ciągle w domu, nie wychylając się na świeże powietrze.

Tymczasem Janek wynalazł sobie nową zabawę. Zaglądając w różne kąty, spostrzegł rodzaj dużej skrzyni mahoniowej, zasuniętej w głąb małego alkierzyka obok jadalnego pokoju, gdzie były złożone różne niepotrzebne graty. Chłopczyk obchodził ten dziwny sprzęt dokoła, dotykał go, próbował otworzyć, wołał i mnie do pomocy.

— Co to takiego, Emilciu? co tam może być we środku? — pytał — a tu coś się rusza — i pokazywał mi korbę przytwardzoną z boku do skrzyni.

— Nie rusz tego, kochaneczku — odezwała się Salomea, która na to nadeszła — to pozytywa, pan kiedyś grywał na niej, dawno, bardzo dawno; niech to sobie stoi spokojnie, żeby się czasem nie popsulo.

Ale Janek póty się przymilał, póty prosił słodkim swoim głosem, aż w końcu gospodyni sama wysunęła skrzynię i pokazała, jak to się korbą obraca, żeby pozytywa zagrała. Chłopczyna zabrał się zaraz do dzieła, i wielkie było jego zachwycenie,

gdy wydobył kilka tonów; kręcił korbą coraz zwaśniej i równiej, aż pozytywa zagrała naprawdę melodyą jakiejś pobożnej pieśni.

— Emilciu, jak prześlicznie gra! — zawołał uradowany — ja tak lubię granie!

Nie mogłam tego powiedzieć o sobie, nie miałam nigdy upodobania do muzyki, na pensyi musiałam grywać na fortepianie po trzy godziny dziennie, a były to dla mnie godziny najnudniejsze. I pozytywa nie sprawiała mi żadnej przyjemności, ale uszczęśliwiona byłam, patrząc na rozjaśnioną i rozradowaną twarzyczkę malca, który nacieszyć się nie mógł swoim odkryciem; kiwał w takt główką, nakoniec zaczął nucić zgodnie z muzyką, a głosik jego dziecinny, słabiuchny, był jednak dźwięczny i ani razu nie dał fałszywego tonu.

Salomea przysłuchiwała się z zachwyceniem, obracając koniec fartucha w palcach, i szeptała z cicha:

— To dopiero roztropny paniczyk! wykapana matka nieboszczka, ona często śpiewała tę pieśń i uczyła jej dzieci ze szkółki. Mój Boże, ile to czasu upłynęło od tej pory!.. Taka ładna pieśń!.. byle tylko pan się nie gniewał.

A w tej samej chwili drzwi się otworzyły i wuj Ruben wszedł do izby jadalnej w towarzystwie Eliasza. Staruszek dziwnie wzruszonym głosem, bez gniewu jednak, zapytał.

— Kto to gra? kto rusza moją pozytywę?

Ale Janek był tak zagłęziony w swoim graniu, że nie usłyszał tego zapytania i kręcił dalej korbą, nucąc, półgłosem.

— Nie przeszkadzajmy mu, panie Rubenie — szepnął Eliasz — malec z takim przejęciem gra, a i głosik ma wcale ładny. Ślicznaż bo to pieśń.

— Tak, piękna pieśń, ulubiona pieśń nieboszczki, moglibyśmy ją chórem zaśpiewać; Eliaszu, Salomeo, i ty, Emilciu, poproście.

I wuj Ruben, dając nam przykład, drzącym głosem zaczął śpiewać za Jankiem powszechnie znaną pieśń pobożną, Eliasz wtórował mu basem, Salomea wmieszała swój dyszkant, a zdaje mi się że i ja, porwana powszechnym zapałem, nuciłam za nimi cichutko. Janek nie zmieszał się wcale, obracał korbą równiutko, a gdy chór umilkł, odśpiewawszy wszystkie strofki hymnu, on także grać przestał; ja spojrzałam na niego i aż zadrżałam z podziwienia. Twarzyczka jego, na którą padł właśnie w tej chwili przez okno promień zachodzącego słońca, jaśniała jakimś nadziemskim zachwytem, wyglądał, jak aniołek. Eliasz wyrwał go z tego stanu, sadzając go na kolanach i mówiąc:

— A teraz, mój paniczyku, dosyć już tego grania, pora jeść wieczerzę.

Paniczyk w jednej chwili zmienił się do niepo-

znania, zaczął się krzywić i grymasić, wyraz zachwyty znikł bez śladu z jego twarzyczki, jak gdyby z ostatnim dźwiękiem muzyki aniołek przemienił się w zwyczajnego, rozkapryszonego dzieciaka, skończyło się na tém, że musiałam go odprowadzić na górę i spać położyć.

Gdy powróciłam do jadalnego pokoju, wuj Ruben i Elias siedzieli przy kominku, rozmawiali z ożywieniem, a ponieważ mrok zapadł tymczasem, nie spostrzegli mnie wcale. Elias palił fajkę, wuj Ruben nie palił nigdy, z czego byłam bardzo rada, bo niecierpiałam dymu tytoniowego, i już wówczas myślałam, jakby to Janka ustrzedz od tego niemiłego nałogu. Usiadłam tuż przy drzwiach, jak najdalej od palącego, nie zważałam wcale na rozmowę, gdy uszu moich doleciało imię Janka: o nim właśnie wuj z Eliaszem rozmawiali.

— Śliczny chłopczyka, panie Rubenie i zdaje mi się, że będzie miał niepospolite zdolności do muzyki.

— Bardzo być może — odrzekł wuj smutnie — niezmiernie podobny jest do matki.

— Ach, zanadto nawet — szepnęła Elias z westchnieniem.

— Dla czegoż to mówisz? — spytał wuj niespokojnie.

— Bo słyszałam, że z sześciorga rodzeństwa ona jedna dożyła dojrzałego wieku. Reszta podobno wymarła w dzieciństwie z chorób piersiowych. Już parę razy chciałem panu dać pewną radę co do tego malca; bo widzisz pan, ja mam własne dzieci i wiem, jak się z niemi trzeba obchodzić, żeby były zdrowe.

Wuj zwrócił się do mówiącego i widziałam, przy świetle ognia kominkowego, że wyraz trwogi odmalował się na jego twarzy, a ja zadrżałam od stóp do głowy i z natężoną uwagą słuchałam.

— Ja sądzę — mówił dalej Elias — że z takim wątłym dzieckiem trzeba postępować oględnie, ochraniać je, ale i hartować rozsądnie. Jak będzie tak siedziało ciągle w zamkniętej izbie, zwiędnie, jak roślina przy piecu trzymana. Chłopiec potrzebuje świeżego powietrza, ruchu, prędko by się wzmocnił, gdyby inne życie prowadził. Szkoda, że nie ma z kim chodzić po polach, biegać, choćby nawet po deszczu i słońcu. Ale biedactwo niema opieki, tylko siostrę, młodą, niedoświadczoną dziewczynę. Powinienbyś sam się nim trochę zająć, panie Rubenie.

Elias wyszedł, powiedziawszy to, ja także wybiegłam z pokoju z bijącym sercem i dziwnym niepokojem w duszy. Nie wróciłam na górę, ale wysunęłam się cichutko na podwórze i usiadłam na kamieniu przy studni, gdzie nikt mnie nie mógł obaczyć. Bóg jeden wie, jak ciężką godzinę tam

spędziłam. Przed oczyma mojemu stała twarzyczka małego mego braciszka z tym nadziejskim, anielskim wyrazem; z przerażeniem odpychałam myśli, cisnące mi się gwałtem do głowy, ale pozbyć się ich nie mogłam. Siedziałam tak wpatrzona w niebo, na którym powoli zapalały się gwiazdy jedna po drugiej, dotkliwie zimno przebudziło mnie dopiero z tej bolesnej zadumy.

Lecz zanim doszłam do swego pokoiku na górze, bezładne myśli uporządkowały się w mojej głowie, wiedziałam już, co mi czynić należy, powzięłam silne postanowienie rozpocząć nowe życie od następnego rana.

VII.

Spełnienie postanowienia.

Nazajutrz przebudziłam się bardzo wcześnie, ubrałam się i zaczęłam budzić Janka. Malec nie miał ochoty wstawać, ale jak zaczęłam mu obiecywać różne nadzwyczajne przyjemności, dał się w końcu namówić. Ku wielkiemu podziwieniu Salomei, weszliśmy oboje do pokoju jadalnego o godzinie siódmiej z rana.

— O, mój miły chłopczyku — zawołała — gdybyś częściej tak wstawał, miałbyś policzki rumiane, nie byłbyś taki wątły i chorowity. Biedactwo!

Byłabym chętnie wybiła Salomeę, tak mnie oburzyły te objawy litości, gdy wtém Janek odwrócił moją uwagę w inną stronę, pokazując mi przez okno wózek Eliasza, który się zatrzymał przed naszym domem. Malec lubił niezmiernie Eliasza, co we mnie czasem budziło pewne uczucie zazdrości. Słuchał z wielkim zajęciem opowiadań jego o wyrobach glinianych i kamiennych, zadawał mu rozmaite pytania, pozwalał się brać na ręce i sadzać na kolanach, a ze strony kapryśnego mego braciszka była to łaska niemała. Ujrzawszy teraz swego przyjaciela, zastukał w szybę i uśmiechał się do niego.

— Oho! cóż to za ranny ptaszek dziś z ciebie, mój mały paniczyku — rzekł Elias, wchodząc do pokoju — a czy nie chciałbyś pojechać zemną troszkę na spacer?

Janek cofnął się, pokręcając główką odmownie, ale ja odezwałam się i odpowiedziałam za niego:

— I owszem, panie Eliasz, chętnie pojedziemy oboje, jeśli będziesz tak dobry i zabierzesz nas z sobą. Już dawno myślałam o tém, żeby obaczyć kiedy, jak to kopią tę glinę, z której się fajans robi.

— Oho! — powtórzył znów Elias z jakimś dziwnym wyrazem, w którym było i zdziwienie

i radość — Oho, jakże się cieszę, że panienka raz przeciw się na to zgodziła. Dziedzic często się dopytuje o dzieci pułkownika Liningtona, radbym, żebyśmy go spotkali. Czy już po śniadaniu? to dobrze, zaraz jedziemy.

I pojechaliśmy. Wyznaję jednak, że wkładając kapelusz i gotując się do tej przejażdżki czułam się strasznie upokorzona i wcale nie miałam ochoty spotkać dziedzica lub kogokolwiek z ludzi wyższego świata. Emilia Linington, córka pułkownika, jadąca na prostym wózku z Eliaszem Lee, to było okropnie!

Lecz gdy wózek potoczył się szybko przez pola, a Janek zaczął klaskać w rączki, wołając że to śliczna rzecz, taka jazda; gdy ujrzałam twarzączkę jego zarumienioną od wiatru, oczki ożywione i błyszczące, duma moja umilkła i czułam się bardzo zadowolona. Wesołe moje usposobienie nie zmieniło się nawet, gdy Elias oświadczył, że nas zostawi samych na czas jakiś przy robotnikach, gdyż musi zajrzeć do biura, ale przyśle nam coś do jedzenia i odwiezie do domu przed wieczorem.

— Ale niech panienka będzie spokojna, wszyscy ci robotnicy to bardzo poczciwi ludzie, dzieci dziedzica często tam także przesiadują, może i dziś przyjdą.

Nie życzyłam sobie tego wcale, lecz postanowiłam znieść wszystko cierpliwie. Przejażdżka ta nie sprawiała mi żadnej przyjemności, wiatr zimny mroził mi twarz i włosy rozwiewał, Janek, siedzący na kolanach Eliasza, zaczął drzeć cały, owinęłam go dobrze ciepłym swoim szalem. Bardzo się cieszyłam w tej chwili, że dla siebie nie potrzebowałam się obawiać przeziębienia, byłam dzięki Bogu zdrową i silną dziewczyną. Nieraz dawniej, pamiętam, ubolewałam nad tem, że nie jestem szczupła, blada, delikatna, zazdrościłam takiej interesującej powierzchowności moim towarzyszkom. Jechaliśmy ciągle okolicą bagnistą, minęliśmy miasteczko, przy którym wznosił się ów piękny zamek, przedmiot moich marzeń; westchnęłam i teraz na ten widok. Po drodze spotykaliśmy gromadki bydła, pasące się na łąkach, raz przejechała koło nas karetka pocztowa, a woźnica pozdrowił przyjaźnie Eliasza.

— Niezadługo będziemy na miejscu — rzekł Elias — i tu także dawniej kopano glinę, za czasów ojca dzisiejszego dziedzica, ale wyczerpano cały pokład i teraz dalej już kopać potrzeba. Spójrzyno, Janeczku.

Chłopczyna spojrział i cofnął się z wyrazem przestrachu. Po obu stronach drogi widać było jamy głębokie, napelnione wodą, mętną, gęstą wodą,

która w niektórych miejscach miała barwę kawy z mlekiem, a w innych rumieniła się jak krew.

— To ciekawa rzecz, panienko — mówił Elias — jak tu woda dziwnie wygląda po tych bagnach. Zabarwiona jest rozmaicie, a niekiedy ma smak gorzkawy, smak żelaza; zapewne przepływa przez grunt żelazisty. Czasem znów barwa pochodzi od torfu. Moznaby o tem wszystkiem dużo opowiadać, nie wiem tylko, czy zrozumiałaby to panienka. Ach! piękne to są nauki chemia i geologia; pierwsza świadczy o rozumie człowieka, ale druga wznosi myśl do Stwórcy wszechrzeczy.

Zdziwiłam się niezmiernie, słysząc te wyrazy, tak dziwnie brzmiące w ustach tego prostego robotnika. Pewna jestem, że gdyby Elias żył w innych warunkach, wyszedłby na człowieka znakomitego.

— A teraz — zawołał — obaczmy prześliczne rzeczy. Tu glinę dobywają, a tam daleko, daleko, czy widzi panienka komin i dym, maszty i żagle? To statki nasze, żaglowe i parowe, pływają po kanale. Wody ztąd wcale nie widać, bo kanał jest wązki i brzegi ma bardzo wysokie. Otóż tym kanałem wszystka nasza glina dostaje się do morza.

— Widzę, widzę — odrzekłam — bardzo to ładnie wygląda.

Janek także patrzył z wielkiem zajęciem. Elias mówił dalej:

— Od tych pokładów gliny do kanału jest jeszcze znaczna odległość, a droga przez grunt bagnisty strasznie niewygodna. Gdy dziedzic, po śmierci ojca, objął tę posiadłość, był jeszcze bardzo młody, ale miał głowę mądrą nad wiek. Zaczął też zaraz nad tem rozmyślać, jakby to przewożenie takiego ciężaru, jak glina, ułatwić. I w końcu wymyślił.. nigdyby panienka nie zgadła: wymyślił kolę żelazną!

I Elias pokazywał nam z dumą szyny, przerynające bagna i łączące się z kanałem.

— Wszystko to dziedzic zrobił, kolę, maszyny, sam każdą rzecz odrysował i przy sobie wykonać kazał. A nie łatwa to była sprawa urządzić kolę żelazną w okolicy, gdzie sami kamieniarze mieszkają. Trzeba było sprowadzać kowali, cieślów, pilnować robót; wszystkiego tego dokonał nasz dziedzic. O, to człowiek niepospolitego rozumu.

W tej chwili Elias zatrzymał swój wózek, pociąg, złożony z kilku wagonów naładowanych gliną, przejeżdżał właśnie przed nami; posuwał się zrazu wolno, potem śpiesznie zbiegł po spadzistej drodze, nie potrzeba było do tego, ani koni, ani lokomotywy, popychano tylko wagony z miejsca. Widok to był naprawdę ciekawy. Janek szepnął z cicha:

— Jakbym ja chciał przejechać się tą koleją.

— Czy tak? nic łatwiejszego — powiedział

Eliasz z uśmiechem — zaraz to urządzimy. Héj, Jakóbie!

Wysoki człowiek, cały zakurzony, idący koło wagonów, zbliżył się na te słowa, a on mu coś szepnął, czego już nie dosłyszałam. Potem wózek nasz puścił się dalej jakąś boczną drożyną nadzwyczaj nierówną, podskakiwaliśmy co chwila i o małośmy się nie wyrócili; zajechaliśmy nakoniec przed dom jakiś. Eliasz spojrzął na zegarek.

— Już po dziewiątej, oho! trzeba się brać do roboty, jest sporo rachunków do pisania i do sprawdzania. Wolałbym z wami pochodzić, taka sliczna pogoda, ale obowiązek przedewszystkiemi. Słuchaj no, Jakóbie.

Spostrzegłam wówczas, że ten zakurzony człowiek przyszedł aż tu za naszym wózkiem; poznałam w nim jednego z tych poczciwych ludzi, którzy tacy uprzejmi byli dla nas na parowcu w czasie owęj nocnej żeglugi. Eliasz polecił mu, ażeby się nami opiekował i przewiózł nas koleją, sam zaś skinął głową przyjaźnie na pożegnanie i odszedł w głąb budynku.

Po chwili siedzieliśmy oboje z Jankiem w wagonie, zupełnie sami wśród okolicy nieznanej; Janek miał we mnie opiekę, ja żadnej opieki nie miałam... ale do tego trzeba było przywyknąć, nie mogło być inaczej, ani teraz, ani w przyszłości. Wszak o tém dobrze wiedziałam od chwili, gdyśmy zostali sierotami. Sadowiąc się w tym wagonie, który służył do przewożenia gliny, dziwnego doznałam uczucia. Cóżby na to powiedziała pani Dangerfield i koleżanki moje z pensyi, gdyby obaczyły panienkę szlachetnego urodzenia w tak niestosowném położeniu? Przypomniałam sobie na pociechę, co kiedyś powiedziała Jania Allarden, że lepiej jest postępować szlachetnie, aniżeli szlachetnie wyglądać, a gdy mi stanęły w pamięci straszne myśli, wywołane wczorajszą rozmową wuja z Eliaszem, przycisnęłam Janka do bijącego serca i ani mi w głowie już było, coby tam na to powiedziała pani Dangerfield i najwykwintniejsze pensyonarki.

Silne ramiona robotników popchnęły wagon i zaczął się toczyć coraz prędzej po pochyłej drodze, nakoniec puścił się, jak strzała, przez bagnistą łąkę. Muszę wyznać, że przejażdżka ta była wcale przyjemna, ale największą przyjemność mi sprawiały wesołe okrzyki i śmiech Janeczka, który był uszczęśliwiony.

(d. c. n.).

Łamigłówka odwrotna (Różia D.).

W kwadraciku o 16 przedziałkach zamieścić: 3 S — 6 A — 3 R — 2 K — 2 I — aby odczytać w obu kierunkach, a następnie odwrotnie.

1. Rzeka w Armenii, dopływ do rz. Kura.
2. Skorupiaki.
3. Mały kraj murzynów w Gwinei.
4. Rzeka w nowogrodzkiej gubernii.
5. Imię biblijne.
6. Syn Dedala, mytycznego reprezentanta najdawniejszej sztuki greckiej.
7. Największa świętość w Izraelu.
8. Sławne miasta w starożytnym Egipcie.

Łamigłówka liczbowa (Moryś K.).

Z ośmiu liter nazwisko poety polskiego; przestawiając litery otrzymamy:

- 1, 2, 3, 4, 8, 7, ptak.
- 4, 3, 1, 7, wyrób owadów.
- 4, 5, 2, nasyp obronny.
- 7, 3, 1, ptak.
- 1, 3, 7, ciecz.
- 6, 2, 3, rodzaj podatku.
- 4, 3, 2, 7, 8, drobniała nazwa zwierząt domowych.
- 1, 3, 4, 5, ptak.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Czarodziejskiej sztuczki:

Odjąć litery, z których utworzą się wyrazy: ul. myszy, noc, a zostanie kareta.

Łamigłówki zgłoskowej:

Mak.
Artur
Rio-Janerio
Cejlon
Iżycki
Naparstek
Bahia
Ignas
Ezaw
Leki
Sekwana
Kret
Igła.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



ROZMÓWKA.

Andzia. Ach, Mamuniu, jak zimno, jak brzydko na dworze. Żebym to ja mogła odlecieć razem z ptaszeczkami do tych ciepłych krajów, gdzie niema zimy. Ale skoro to już żadnym sposobem być nie może, niech Mamunia przynajmniej opowie coś o tych prześlicznych krajach, a ja oczki zamknę i będę sobie myślała, że tam jestem.

Mama. Pocóż masz oczki zamykać, lepiej popatrz na ten oto obrazek, który przedstawia ładny widok na wyspie włoskiej Kapri. Nie można powiedzieć, aby tam zimy nie było wcale, ale jest tak łagodna, że nawet liście nie opadają z drzew pomarańczowych i cytrynowych, a śnieg bardzo rzadko pada i za wielką osobliwość jest uważany.

Andzia. Jak to musi być zabawnie i ślicznie, moja Mamuniu, chodzić sobie po dworze na Boże Narodzenie, na Nowy Rok

i patrzeć na takie zielone drzewka cytrynowe i pomarańczowe.

Mama. Gdybyś mieszkała we Włoszech, tobyś do tego tak przywykła, że wcalebyś na to nie zważała. Przywykłaś przecież do borów sosnowych i zielona choinka w zimie wcale cię nie zadziwia ani zachwyca zbyt. A jednak w innych okolicach kraju naszego, więcej na południe posuniętych, choina nie rośnie po lasach i tylko po ogrodach czasem hodują drzewa świerkowe i sosnowe. Ja sama, będąc małą dziewczynką, mieszkałam w takiej okolicy, nad rzeką Bohem. Gdy raz pojechałam z moją Mamą do pięknego parku, gdzie była aleja wysadzona świerkami, nie mogłam się nadziwić tym ślicznym drzewom, bo je pierwszy raz w życiu widziałam, a szyszki zbierałam z takim zachwyceniem, jak gdyby to była największa w świecie osobliwość.

Andzia. A to dopiero zabawna rzecz! Ale

moja Mamo, jak się nazywa to miasto na obrazku? bo to przecież musi być miasto, takie ma ładne domy murowane.

Mama. Nazywa się Ana Kapri.

SIEROTA.

Gdy słońeczko nad wieczorem
Żegnać miało już niebiosy,
Stanął sobie przede dworem
Chłopaczyna mały, bosy.
— Co tu robisz, moje dziecię,
Tak sam jeden o tój porze?
— Ot tak! tułam się po świecie,
Może Bóg mi dopomoże...
— A rodziców nie masz, mały? —
Spyta pani ze łzą w oku.
— Bóg ich zabrał do swój chwały,
Jam sierotą już od roku!
— A ktoś żywi cię, biedaku,
Kto zatroszczy się o ciebie?
— Ten, co myśli i o ptaku,
Bóg nasz wielki, Pan na niebie!
— Pewnieś głodny, dam ci chleba
I świeżego kubek mleka.
— Toż pani, jak anioł z nieba,
Taka dobra dla człowieka!
A gdzie przyjdę, to ludziska
Krzyczą na mnie: A to po co?
Aż mi z oka łza wytryska,
I znów idę dniem i nocą,
Idę... idę... ot, tak sobie,
I sam nie wiem, dokąd zajdę.
Pytałem raz w jednym dworze,
Czyby w służbę mnie nie wzięli;
Ale gdzie tam!... dobry Boże!
Jeszcze ze mnie się naśmieli.
— On do służby? dobry sobie!
Chyba tylko do jedzenia!
A ja przecież wszystko zrobię,
Co mi dadzą do zrobienia.
Może dobry Pan Bóg z nieba
Zabierze mnie tam wysoko...
Tam nie zbraknie nigdy chleba,
Nie zapłacze nigdy oko!
A tu? — i łza po łzie spada
Na wychudłe to oblicze.
— Nie płacz! — rzecze pani blada,
— O! ja ciebie nie wykrzyczę.
Zostań u mnie tu we dworze,
Dam ci jeść i pić do syta,
Inną odzież na cię włożę.
— A to za co? — chłopiec pyta.
— Boś sierotą, moje dziecię,

Nie masz ojca, ani matki;
A Bóg kazał, by na świecie
Kochać zawsze biedne dziatki!
Nie płacz, nie płacz, otrzyj łezki,
Chodź tu do mnie bliżej jeszcze,
Dam ubiorek ci niebieski,
Ucałuję i upieszczę.
Ach! znów łezka zabłysnęła!
Czy ci przykra ma pieszczota?
— Nie! lecz w myśli mi stanęła
Matuleńka moja złota!
Ona zawsze mnie pieściła
I do serca przyciskała!
— O! dziecino moja miła!
I ja będę tak umiała.
U mnie także jasnowłosy
Był syneczek taki mały;
Lecz Bóg zabrał go w niebiosy,
Na aniołka do swój chwały!

Helena Bojarka.

MAZGAJ.

przez **Bogumiłę.**

(Dokończenie).

Pamiętasz?... opowiadałam ci o pożarze teatru w Wiedniu; znasz dokładnie szczegóły tak niedawnej jeszcze katastrofy kościoła Świętokrzyżskiego. Tak tu, jak tam, tylko brak ludzi przytomnych i odważnych stał się przyczyną tak strasznego nieszczęścia, pogrążając w sieroctwie i rozpaczycy tyle rodzin, pozbawiając życia tyle ludzi młodych, silnych i zdrowych.

Kazio całował ręce matki i przyrzekał poprawę, ale niestety! jakże prędko o tём zapominał.

* * *

Nakryto do obiadu. Pani K. zasiadła z dziećmi, oczekując lada chwila nadejścia męża, który poszedł odwiedzić jednego ze swych znajomych. Wtém, kiedy chciała wstać i iść do kuchni, by wydać jeszcze służącej jakieś rozporządzenie, zachwiała się i blada jak śmierć, zemdlona upadła na krzesło. Dzieci zerwały się przerażone. Kazio, zamiast enernicznie ratować matkę, wybiegł z płaczem na podwórze wołając:

— Mama umiera! Mama umiera!

Za przykładem jego poszły młodsze dzieci, tylko Helenka, przytomniejsza od brata, poczęła trzeźwić matkę, obryzgując jęj skronie stojącą na stole wodą. Krzyk i płacz Kazia wywołał z mieszkania sąsiadów, państwa K. którzy zdjęci współczuciem, przybiegli rato-

wać matkę nieszczęśliwych dzieci. Pani K. przysłała prędko do siebie i czuła się tylko osłabioną, ale Kazia nie sposób było uspokoić. Ciągłe powtarzając swoje:

— Mama umiera! biegał po całym podwórzu, zanosząc się od płaczu.

Tak go zastał ojciec, śpieszący na obiad. Szedł on szybko, gdyż nie chciał opóźnieniem swoim zrobić przykrości dzieciom, oczekującym z niecierpliwością chwili spaceru; uśmiechał się też na myśl, z jaką go dziatwa powita radością. Łatwo pojął, jakie było jego przerażenie, gdy ujrzał Kazia w takiej rozpacz i gdy z jego słów: „Mama umiera“! sądził, że uderzył w niego grom straszny a niespodziany, że towarzyszka jego doli i niedoli, matka jego dzieci leży tam... może... nieżywa... Fala gorącej krwi uderzyła mu do głowy... chciał przemówić, zapytać, ale głos odmówił mu posłuszeństwa.

Pobiegł do mieszkania, gdzie widok bladej jeszcze żony, zapłakanych dzieci, potrwożonych sasiadek, tak go z nóg zwałił, że upadł na najbliższe krzesło. Po chwili dopiero, gdy żona łagodnym swym głosem zaczęła go uspokajać, przyszedł nieco do siebie. Przybiegł też i Kazio, którego nareszcie udało się przekonać, że matce jego żadne nie grozi niebezpieczeństwo, a spostrzegłszy, że to on swoją brzydką wadą narobił tyle strachu, zaczął z płaczem przeproszać rodziców, przyrzekając, że tego więcej nie zrobi.

Gdy już wszyscy ochłonęli z przerażenia, dzieci przypomniały sobie zamierzoną wycieczkę, ale jakże się zasmuciły, gdy im ojciec powiedział:

— Dzieci moje! Chciałbym dotrzymać danej wam obietnicy i zawieźć was do Łazienek, ale dziś nie mogę tego zrobić. Głowa boli mnie bardzo; muszę się nawet trochę położyć.

Ciężki smutek zawitał do serc naszych małych przyjaciół. Zaczynał ich ojciec złożony był niebezpieczną, parę tygodni trwającą chorobą. Jednego dnia nawet życie jego wisiało na włosku. Co się działo w sercu biednego Kazia, to się opisać nie da. Doktorzy mówili, że pan K. ma zapalenie mózgu, spowodowane silnym wzruszeniem. Jakież to okropne były słowa dla Kazia, któremu sumienie mówiło: „Jeżeli ojciec umrze, ty będziesz tego przyczyną. Ty go w grób wtrącisz!“

Biedny chłopiec cierpiał strasznie. Nie jadał, nie sypiał; każdą wolną od nauki chwili-

ę spędzał przy łóżku ojca, nawet w nocy go nie odstępując i błagając Boga, aby oddalił grożącą mu karę. I Bóg miłosierny wysłuchał prośb biednego dziecka; pan K. powrócił do zdrowia.

Bolesne to zdarzenie wywarło wielki wpływ na zmianę charakteru Kazia. Jest on teraz cichy, spokojny. Stara się coraz to lepiej panować nad sobą, znosić odważnie nieuniknione w życiu przykrości, to też jest prawdziwą pociechą rodziców, a koledzy lubią go bardzo i nie nazywają już mazgajem, tylko dobrym i kochanym kolegą.

Konik polny i mrówka,

bajka Lafontena.

Konik polny, co swój cały
Wpółśród lata czas prześpiewał,
Tak był na zimę zgłodniały,
Że tylko wiatr nim powiewał.
Żeby też odrobinka jaka
Z muchy lub robaka --
Nic zgoła!

A więc idzie, płacze, woła,
U skrętniej mrówki kołace.
— Pożycz, ach pożycz — powiada
— Kilka ziarenek dla sąsiada;
Jakem konik, tak zapłacę,
By tylko Sierpień zawitał,
I procenta i kapitał.
Mrówka na to: — Opatrz Boże,
Ja nikomu nie pożyczam;
Do wad to swoich zaliczam,
Nawet nie najmniejszych może,
Ale już mnie nie poprawisz.
Raczej odpowiedz mi na to,
Cóżeś robił całe lato,
Że się dziś żebractwem bawisz?
— Tak w dzienniej, jak w nocnej dobie,
Wciąż śpiewałem bez ustanku.
— Śpiewałeś? dobrze, kochanku,
Więc teraz skacz sobie.

WISIENKA.

(naśladowane).

Piękna, rozłożysta wiśnia jest moją matczką. Pewna jestem, że w całym sadzie niema wspanialszego drzewa. Z grubego pnia wychodzą trzy duże konary i wznoszą się ku niebu; wyrasta z nich mnóstwo mniejszych gałęzi, pokrytych zielonemi listeczkami; na

gałązkach siadają ptaszeczki i ślicznie świegocą.

Ja jestem córeczką tój pięknej wiśni, jestem wisienką maleńką i siedzę na najwyższej gałązce. Nie jestem jeszcze zupełnie dojrzała, jeden policzek mam rumiany, a drugi zupełnie biały. Chciałabym już jaknajprędzej być ładną i różową, przez cały dzień patrzę na słońce, bo domyślam się, że to ono mi daje tę śliczną barwę purpurową. Ale duży liść, mój sąsiad, zasłania mi słońce z jednej strony, i promienie nie mogą się dostać do prawego mego policzka. Nie mam ja o to żalu do tego listeczka, zdaje mi się jednak, że mógłby być grzeczniejszy dla mnie i usunąć się troszeczkę na bok. Prosiłam go o to kilka razy, ale powiada, że żadnym sposobem nie może się inaczej obrócić, bo mu tak najwygodniej.

Nie wiem, czy jest na świecie lepsza mateczka od mojej. Jak ona troskliwie pielęgnowała wszystkie swoje córeczki! Pierwsze dni mego życia spędziłam w cudnej kolebeczce; żadna dziecina, żadna ptaszyna, nie może mieć piękniejszej. Pościółka w niej była biała, cieniuteńka, mięciutka, kołderka blade-zielona. Ta śliczna kolebeczka, to był kwiat wiśniowy. Byłam wówczas jeszcze bardzo malutka, mniejsza niż główka od szpilki, a taka wążła, że najłżejszy wietrzyk mi szkodził. Mateczka wiedziała dobrze, jakie to nocy na wiosnę są chłodne i każdą córeczkę ułożyła w takim kwiateczku i otuliła starannie. Cóż to za milutka była kolebeczka! Nigdy nie zapomnę, jak mi tam było wygodnie. Teraz jój niema, opadła, ale ja się już mogę obejść bez niej, bo jestem duża i silna.

Bardzobym chciała wyjść na ładną i smaczną wisienkę, bo obiecałam znajomemu wróbelkowi, że mu pozwolę podziobać się troszeczkę, jak dojrzeję. Ten wróbelek wielką mi przysługę wyświadczył tój wiosny. Żeby nie on, byłabym pewnie zachorowała, a może i zginęła. Straszny robak byłby mi wygryzł serce. Takie nieszczęście przytrafiło się niejednej mojej siostrzyczce.

Było to rano: przebudziłam się i spostrzegłam jakąś główkę wspartą na brzegu mojej kolebeczki. Przelekłam się niezmiernie, a cóż dopiero, gdy straszny zwierz wpakował się cały do mojej pościółki. Była to liszka! Byłaby mnie pożarła niezawodnie. Błagałam jój, żeby sobie poszła, ale nie chciała mnie słu-

chać; musiała być bardzo głodna. Aż tu niespodzianie wróbelek usiadł na mojej gałązce.

— O, proszę cię, mój dobry wróbelku — powiedziała do niego — ratuj mnie, zabierz tę liszkę, bo zginę.

— Z największą chęcią — odrzekł uprzemie i pochwycił ją zręcznie w dziobek — właśnie szukałem liszki na śniadanie dla mojej dziatwy.

Grzeczny ten wróbelek codziennie od tój pory przylatywał do mnie w odwiedziny. Jak tylko jaka liszka chciała mnie ukąsić, on ją zaraz chwycił i pożerał. Bardzo go za to pokochałam i chciałam mu się czemś odwdzięczyć.

— Czy lubisz wisienki, mój mały wróbelku? — zapytałam.

— O, bardzo — odpowiedział.

— Kiedy tak — rzekłam wówczas — to przylećże do mnie, jak będę zupełnie dojrzała; uratowałeś mi życie, nigdy tego nie zapomnę i chcę, żebyś mnie troszkę podziobał, jak będę już rumiana i smaczna.

(D. n.).

Zagadka

Co to za narzędzie, na wsi w wielkiej cenie,
Któremu, gdy pierwszą głoskę na s zmienię,
To choć jedna głoska jest rzecz nihy marna,
Przecież się z narzędzia zaraz zrobi... sarna!

Łamigłówka kryształowa geograficzna.

1. Współgłoska.
2. Rzeka w Rosyi.
3.
4. Rzeka w Galicyi.
5. Współgłoska.

Środkowe litery i rząd środkowy utworzą nazwę rzeki, płynącej w dwóch krajach europejskich.

Rozwiązania do N-ru 43-go.

Zagadki:

Pająk.

Łamigłówki kryształowej zoologicznej:

		M			
	K	O	S		
M	O	T	Y	L	
	R	Y	Ś		
		L			